

A. R. Green

# Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: Marya Segeny.

16

— Słyszeliście panowie, nieprawdaż? Pan Ormond umierając wyrzekł, że to miało miejsce, stało się za zrządzeniem losu. Ci, którzy byli obecni ostatnim chwilom pani Clemmens, rozumieją, przypuszczam, co to ma znaczyć!

— Co pani chce powiedzieć, miss Darnell! — odparł z oburzeniem pan Ferris, mierzając młodą dziewczynę surowym spojrzeniem — Widzę, że pani dziś od rana trwa w stanie jakiegoś niewytłumaczanego szaleństwa.

— Odchodzę. — rzekła Beatrycza z godnością — Umysł pana na razie nie chce uznać prawdy, strasznej może, ale rzeczywistej, ale wiem, że później będzie pan zmuszony przyznać, że daleka jestem od szaleństwa lub pomyłki. Wtedy, panie Ferris, przekonana się pan, kto miał słuszość.

Jednakże podniecenie nerwowe, podtrzymujące dotąd mis Darnell, zdawało się wyczerpywać. Ciężkie wzruszenia i przejścia dni ostatnich nawet jej stalową energię i silny organizm podkopać musiały.

Chwiejnym, powolnym krokiem deszła do drzwi, ale znalazłszy się na schodach, musiała się oprzeć, by nie upaść.

W tej samej chwili uczuła jak silna ręka podtrzymała jej ramię i głos jakiś obcy, ale brzmiący dziwną łagodnością i współczuciem, zabrzmiął tuż koło niej.

— Niech pani wybaczy, jeżeli chcę przedłużyć jeszcze cierpienia pani, miss Darnell, ale zdaje mi się, że będzie mi pani wdzięczną wkrótce za to. Ma pani przed sobą człowieka, który nie waha się przyjąć prawdy, przedstawiającą się choćby w najokropniejszej i oburzającej formie. Niech pani mi tylko zawiery, przyzwoli na chwilę rozmowy, a potem zobaczymy, co z tego wyniknie.

Miss Darnell, zdumiona temi słowami, miała jeszcze na tyle siły, aby się odwrócić do mówiącego. Był to nieznajomy człowiek, którego obecność zauważyła przy łóżku pana Ormond.

— Kim pan jest? — zapytała z lekkim odcieniem nieufności, wpatrując się uważnie w nowego towarzysza.

Tenże pochylił się ku niej i szepnął słów kilka.

— To pan! — zawołała młoda dziewczyna. — Pan tutaj, w takiej chwili!

— Ciszej, miss Darnell — zauważył nieznajomy, to, co mamy sobie do powiedzenia, nie powinno być wiadomem nikomu.

— Więc pan by zechciał przyjść mi z pomocą? — szepnęła ze wzruszeniem Beatrycza.

— Przybyłem tutaj tylko w tym celu — odparł nieznajomy, podając jej ramię, aby ją przyprowadzić do biblioteki, której drzwi starannie zamknął za sobą.

Kiedy w godzinę później pan Ferris zamierzał opuścić mieszkania pana Ormond w towarzystwie doktora Fradwella podszedł do niego Hickory z tajemniczą miną.

— Czy ma mi pan co do powiedzenia? — zapytał pan Ferris.

— Tak, panie prokuratorze — odpowiedział agent. — Jest tu ktoś, który pragnie pomówić z panem i z panem koronerem.

— Któż to być może?

— Pan prokurator sam się przekona.

— Chodźmy doktorze!

Kiedy weszli do biblioteki, zastali tam człowieka, który się zdawał być bardzo zajęty czytaniem jakiejś książki.

— Czy go pan zna? — zapytał pan Ferris towarzysza.

— Nie.

Prokurator postąpił parę kroków naprzód i wówczas nieznajomy powstał i skłonił się lekko.

— Pozwól panowie, że się przedstawię — rzekł dobrodusznie. — Jestem Gryce, urzędnik policyjny.

— Pan Gryce! — zawołali równocześnie pan Ferris i doktor Fradwell z radosnym zdziwieniem.

— Skąd się pan tu wziął? Spada nam pan jak z nieba — dodał żywo prokurator, wyciągając rękę do nowoprzybyłego.

— Przybywam z Ulicy, gdzie otrzymałem depesze od pana Horacego Byrda, jednego z moich podwładnych, w której prosi abym jaknajspieszniej przyjechał do Sydney.

— Nie dałem mu żadnych dyspozycji w tym względzie — rzekł pan Ferris.

— A o której godzinie, jeżeli pan pamięta, depesza ta nadana została? — zapytał koroner.

— Na parę minut przed dwunastą.

— W takim razie było to podczas przebiegu dzisiejszej rozprawy — zauważył koroner.

— Pan Byrd uważał zapewne, że obecność moja jest tu potrzebna — rzekł pan Gryce. — To młody człowiek bardzo inteligentny, ale brak mu jeszcze cokolwiek doświadczenia. Sprawa ta zaś, jak widzę, nie przedstawia się bardzo łatwo, bo dotąd nie odkryliście panowie jeszcze mordercy, nieprawdaż?

— Jeszcze nie — musiał przyznać koroner.

— Co do mnie, jestem bardzo zadowolony z obecności pana, panie Gryce — oznajmił szczerze pan Ferris. — Pan był zdaje mi się razem z nami na górze, w pokoju pana Ormond?

— Byłem.

— I widział pan i słyszał wszystko?

— Oczywiście.

— Więc był świadkiem śmiesznego oskarżenia, rzuconego przeciw człowiekowi, który był najsławniejszym adwokatem, jakiego znałem kiedykolwiek a zarazem osobistością znaną i szanowaną w naszym mieście!

— Panie prokuratorze — wyrzekł poważnie detektyw. — W świecie naszym napotykamy niestety różnych ludzi. Intelligencja, którą podziwiamy i prawdość, do której się odnosimy z całym zaufaniem i szczerością, służy niekiedy do zamaskowania fałszu i zbrodni.

— Ależ panie Gryce! — przerwał z oburzeniem pan Ferris, patrząc z wyrzutem na mówiącego.

— Niech pana słowa moje nie oburzają, panie prokuratorze! W zawodzie moim widziałem niejedno i spotykałem zbrodniarzy najsławniejszych, uchodzących ogólnie za uczciwych i nietykalnych w opinii ludzi.

— Czyż to jest możliwe! — unosił się dalej pan Ferris — aby pan przywiązywał wagę do gorączkowych słów umierającego i słów kobiety, która pod przysięgą zeznała fałszywie przed sądem!

— To jest wprost śmieszne — oburzył się doktor Fradwell, wzruszając pogardliwie ramionami. — Jasne jest, że umysł miss Darnell nie funkcjonuje normalnie od pewnego czasu!

Uśmiech pełny wyrozumiałości przesunął się po ustach pana Gryce.

— Mówicie panowie — rzekł — że pan Ormond cieszył się zaufaniem i szacunkiem ogólnym?

— Oczywiście.

— Tem więcej posądzenie tak ciężkie nie powinno ciążyć na jego pamięci, bo należy zważyć, że ludzie mniej przyjacielsko niż panowie usposobieni do pana Ormond, posądzenie to wziąć mogą za prawdę.

— Możemy pana zapewnić, że wszyscy w mieście powiedzą za nami, że podobne oskarżenie, rzucone na pana Ormond, może być tylko wymysłem fantazji lub szaleństwa — odparł zimno pan Ferris.

Detektyw objął go długim spojrzeniem i wy-mówił wolno, akcentując każde słowo:

— Zdaje mi się, że panowie zupełnie zapominają o tem, że pan Ormond znalazł się pierwszy na miejscu zbrodni. Czy nie tak było rzeczywiście?

— Tak! Ale co pan przez to chce nam dać do zrozumienia? — zapytał gorączkowo prokurator.

— Tylko to, że ludzie, skłonni do posądzeń, twierdzić mogą, że pan Ormond miał zarówno jak pan Hildreth i pan Morgan sposobność zamordowania pani Clemmens.

— Powtarzam panu, że to jest wprost śmieszne! — oburzał się dalej doktor Fradwell. — Któżby uwierzyć mógł w rzecz podobną! Pan Ormond mordercą pani Clemmens! Ależ to niemożliwe! Zaręczam panu, że niemożliwe! Skąd by mu przyszła myśl zamordowania tej kobiety!

— Niech pan sobie przypomni, że właśnie w tym czasie obecnym był przy rozmowie, w której insynuowano w jaki sposób człowiek inteligentny mógłby się dopuścić zbrodni, nie będąc posądzony o nią. Byłoby wobec tego bardzo interesującą rzeczą dowiedzieć się, jakie stosunki łączyły pana Ormond z panią Clemmens.

— Ależ każdy wie o nich doskonale! Pan Ormond jadał u niej śniadania w dniach rozprawy.

— Pani Clemmens pozostawiła zdaje się niewielki mająteczek — badał dalej pan Gryce.

— Pięć tysięcy dolarów.

— Czy nie wiadomo, skąd miała te pieniądze? Może pochodziły z jakiego spadku?

— Nie wiemy o tem.

— O ile otrzymała je od pana Ormond wzamian za śniadania, to suma ta jest zanadto wygórowana — zauważył detektyw.

— Nikt nigdy nie przypuszczał, aby pani Clemmens pieniądze te otrzymała od pana Ormond.

— A czy są jakie powody sądenia przeciwnie?

Pan Ferris i koroner nie odpowiedzieli na to zapytanie, tylko spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— Panowie! — podjął po chwili pan Gryce — Nie mam zwyczaju wyrażać się w sposób tak swobodny, jak to czynię obecnie wobec was. Zazwyczaj biorę sobie za zasadę zachowywać dla siebie przypuszczenia moje i posądenia, aż do chwili, w której udaje mi się zamienić je w rzeczywistość. Jestem jeszcze dalekim od twierdzenia, że ostatnie słowa pana Ormond były wyznaniem, ale jestem zmuszony panom powiedzieć, że wiele się składa na to, abym powątpiewał o jego niewinności. Dlatego też, panie prokuratorze, oznajmiam panu, że będę czynił w tym kierunku ściśle dochodzenia i proszę pana o przygotowanie się do tej ewentualności.

— Wielki Boże! Fradwell czy słyszy pan? — zawołał w najwyższym zdumieniu pan Ferris. — Zdaje się, że pan Gryce mówi zupełnie poważnie! Czy rozumie pan co z tego wszystkiego, bo co do mnie, to zdaje się, że śnię!

Koroner zarówno pomieszany i zdziwiony nie odpowiedział zaraz, tylko wpatrzył się w detektywa, jakgdyby chciał go wybać, czy nie żartuje.

— Panowie! — przemówił pan Gryce poważnie — Chwila jest ważna i słowa moje wypowiedziałem po głębokim namyśle.

— Panie Gryce — odparł na to doktor Fradwell — zauważył pan już zapewne, że pan Ferris i ja byliśmy serdecznymi przyjaciółmi zmarłego. Być może, że osobista nasza sympatya dla niego zaślepiła nas i nie pozwalała dostrzedz tego, co pan już dostrzegł. Niech mi pan więc odpowie, pan, który nie ulega podobnym wpływom ubocznym, coby pan uczynił na naszym miejscu?

— Skoro chcecie panowie zasięgnąć mojego zdania — odparł detektyw — obowiązkiem moim jest wam go udzielić. Gdybym był więc na miejscu panów, przedewszystkiem zarządziłbym w ten sposób, żeby osoby obecne ostatnim chwilom pana Ormond przynajmniej przez przeciąg dni ośmiu zachowały w tajemnicy to, co widziały i słyszały. Następnie uczynicie panowie rozsądnie, odkładając również do dni ośmiu sprawę zamordowanej.

— A to w jakim celu? — zapytał pan Ferris.

— Abyśmy ja i koledzy moi zyskali trochę czasu, by mózgi upewnić się, czy nie istniała w przeszłości zmarłego okoliczność jaka, potwierdzająca moje podejrzenia. Tydzień wystarczający będzie na dopełnienie tego zadania, a nie potrzebuję chyba zapewniać pana, że wszystko przeprowadzone zostanie z największą dyskretyą i ostrożnością.

— Właśnie o to prosić pana chciałem, panie Gryce — oznajmił pan Ferris. — Jeżeli, co daj Boże, myli się pan, nie chciałbym za nic w świecie, aby cień jaki miał skazić pamięć naszego zmarłego przyjaciela.

— Mnie również na tem zależy — panie prokuratorze — odparł detektyw. — Możecie panowie być pod tym względem zupełnie spokojni. — Mam ludzi do pomocy pewnych, na których liczyć mogę, jak na siebie samego.

Pan Ferris i doktor Fradwell porozumieli się jeszcze wzrokiem, to czego żądał detektyw było zupełnie racjonalne. Jednakże prokurator widząc, że pan Gryce zamierza już ich opuścić, uczynił ruch ręką dla zatrzymania go.

— Jeszcze jedno, ostatnie pytanie panie Gryce. — wyrzekł trochę zmieszany — Mam nadzieję, że nie wpłynęły na sąd pana pewne słowa wyrzeczone przez panią Clemmens w chwili jej konania.

Na ustach detektywa pojawił się pogardliwy uśmiech.

— Oh! Panie prokuratorze! Widzę, że pan mnie ma za człowieka o bardzo słabym charakterze!

— Dlaczego, panie Gryce?

— Czy sądzi pan, że uwaga moja na zmarłego została ściągnięta słowami, które ktoś zabobonny, lub łatwo ulegający wpływom wyobraźni — mógł wziąć za wypełnienie przekleństwa umierającej kobiety? Biorąc pod uwagę dziwny zbieg okoliczności, który zaznaczył się na samym początku tej smutnej sprawy, dziwię się tylko niewymownie, że pan Ormond tak długo mógł się uchronić przed podejrzeniem. Pan sam, panie prokuratorze, o ile się nie mylę, w tym samym celu kazał poszukiwać nieznajomego garbusa, który przez swoje nieostrożne słowa stał się poniekąd inicjatorem tej zbrodni. Porzucił pan ten ślad dopiero wówczas, kiedy się pan dowiedział, że tym garbusem byłem ja we własnej osobie.

— Przyznaję to. — wyrzekł pan Ferris zamysławiając się głęboko — Ten garbus w początkach nie dawał mi spokoju.

— A więc, panie prokuratorze — rzekł unosząc się pan Gryce — daleki jestem od chęci wychwala-